

# Mieczysław Jarosz

---

## Trzy po trzy : wspomnienia obron w różnych sprawach karnych : ciekawsze sylwetki sędziów warszawskich w okresie międzywojennym

---

Palestra 2/10-11(11), 42-59

---

1958

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MIECZYŚLAW JAROSZ  
adwokat

---

## Trzy po trzy

Wspomnienia obron w różnych sprawach karnych. Ciekawsze sylwetki sędziów warszawskich w okresie międzywojennym.

Sięgając w mojej rozmowie ze wspomnieniami do obron z okresu blisko czterdziestu kilku lat, mogę odtworzyć jedynie fragmenty. Czas zatarł w pamięci szczegóły, a zapiski, notatki, akta, jak wszystko, co posiadałem, spłonęło w czasie powstania warszawskiego. Trudno odtworzyć przeszłość w całej jej wyrazistości, dynamice, trudno odpowiednio ustawić aktorów wydarzeń w dramatach stworzonych przez najgenialniejszego autora, jakim jest życie! Zachowały się w pamięci urywki szczegółów i opierając się na nich, chciałbym mówić o rzeczach ludzkich, w których groza, podłość, cynizm, zawód, nieszczęście, rozczarowanie, smutek ocierają się nieraz ramieniem o krawędź śmieszności. Tak jest w życiu, a sprawy karne są jego odbiciem.

„Cy wysoki Sąd poli fajkę?” Pierwszy raz wystąpiłem w drobnej sprawie karnej w obronie jakiegoś chłopka, oskarżonego o zadanie sąsiadowi lekkiego uszkodzenia ciała. Pierwszą tę w mojej praktyce obronę pamiętam dobrze jeszcze i z tego względu, że sprawa obfitowała w momenty natury komicznej. Między sędzią a podsądnym wywiązał się następujący dialog:

- Przyznajecie się do winy? Dlaczegoście go pobili?
- Cy wysoki sąd poli fajkę?
- Odpowiadajcie na pytania sądu, a nię mówcie tu głupstw o fajce!
- Jo właśnie chce powiedzieć i dlatego się pytom, prosię sądu, bo syćko posło o tę fajkę.
- Przyznajecie się do winy? — pytam się jeszcze raz.
- Jo prosię sądu nie powiadam, cobym go kijem nie zdzielił, ino chce rzyc, dlacęgom go zdzielił. A beło to tak: jo mom fajkę z wiśniowego drzewa, com se som cybusek z niego zrobił, i od tego polenia to cybu-

sek przesed tym sokiem od tytoniu i bez to dym je przyjemny i nie dusi człowieka.

- Jeszcze raz was upominam! Mówcie, dlaczegoście go pobili?
- Ano właśnie mówię, prosę sądu. Jakzem wrócił z pola do domu po robocie i zapolilem fajkę, to mnie tako obrzydliwość wzięna, jakzem pociągnął, ze mi się niedobrze zrobiło. Prose wysokiego sądu, wszyściutki sok, co był w tym cybusku, to mi go ktoś splukoł do cysta wodą! Sprołem Franka, niby mego syna, bo myślełem, ze to on zrobił, a ten krzyczy: nie bijcie mie, to nie jo, to Grzybek, niby mój somsiod, ten oskarżyciel, zrobił, wzion fajkę ze ściany i pod studnią sok mi splukoł. Tom się tak rozgniwoł na niego, zem go kijem zdzielił roz cy dwa — no, bo co miołem mu darować!?
- Trzeba było od razu przyznać się do winy!
- Ano jo tyz i chciołem powiedzieć, dlacegom go zdzielił.

Tym zdaniem podsądny zakończył wyjaśnienie, po czym pochylając głowę przymilnym głosem zapytał: „Cy wysoki sąd poli fajkę”?

Sprawa zakończyła się pojednaniem stron.

Sędzia Richter. Było to w roku 1912. W Sądzie Powiatowym we Frysztacie na Śląsku Cieszyńskim, obecnie Zaolziu, bronilem górnika inwalidę, Polaka, oskarżonego o czynne znieważenie leśniczego, Niemca, zatrudnionego w dobrach arcyksięcia Fryderyka. Przed sądem stanęli: z jednej strony oskarżony, starszy człowiek, nędznej budowy, niskiego wzrostu, kulawy, z drugiej zaś zaprezentował się chłop jak dąb, świetnie zbudowany, silny, lat około trzydziestu.

Sędzia, nazwiskiem Richter, Niemiec, zlustrował obu baczny spojrzeniem i przystąpił do osądzenia sprawy. Całe wydarzenie według relacji leśniczego sprowadzało się do tego, że przyłapał inwalidę na oblamywaniu gałęzi z drzew w lesie jego cesarskiej wysokości i usiłował go zatrzymać, lecz ten stawiał opór, zaatakował leśniczego kijem, tak że ten rzucił się do ucieczki. Napastnik jednak pobiegł za nim, dopędził go, obalił na ziemię i pobił.

Podsądny na pytanie sądu oświadczył we wstępnym wyjaśnieniu, że było wręcz przeciwnie, bo to właśnie leśniczy uderzył go kilka razy pięścią w głowę i plecy tak, iż upadł na ziemię, a prócz tego zabrał mu płachtę, z której wysypał gałęzie suche, zebrane na ziemi.

Po zeznaniach leśniczego sędzia polecił stronom stanąć obok siebie. Była to bardzo wymowna „konfrontacja” wzrostu i krzepy fizycznej stron.

- No, jak pan myśli — zwrócił się sędzia do leśniczego — kto z was jest szybszy w biegu, pan czy podsądny? Pan ma obie nogi, zdrowe, a pod-

sądny jest kulawy, prawda? Pan jest młody i silny, a podsądny stary i wynędzniały, prawda? I powiada pan, że to podsądny dopędził pana w biegu, zaatakował, obalił na ziemię i pokonał!

Leśniczy, zdetonowany pytaniami sędziego, który celowo rzucał je jedno po drugim, nie czekając bynajmniej na odpowiedź — stał wyprężony, nie spuszczać oczu z twarzy sędziego.

Obrona moja była właściwie zbyteczna. Ograniczyłem się do kilku argumentów, po czym sąd ogłosił wyrok niewinniający.

Sędzia Richter nie zawahał się ani chwilę przed takim osądzeniem sprawy. Było mu najzupełniej obojętne, że rzekomo poszkodowany jest Niemcem, pozostającym pod opieką i na służbie wszechwładnego arcyksięcia, cesarskiego kuzyna (późniejszego w czasie wielkiej wojny naczelnego dowódcy, osławionego polakożercy), a podsądny Polakiem. O takich to sędziach mówiono ongić w Berlinie, gdy król pruski przegrał proces z młynarzem: „*Es sind noch in Berlin die Richter!*”.

Prawda subiektywna. Było to w Kozienicach w 1915 r. W austriackim sądzie polowym broniłem z urzędu mieszkańca Kozienic N., oskarżonego o dokonanie napadu rabunkowego na Żydach jadących w nocy na jarmark do Radomia. W odległości 20 km od Kozienic, w lesie, w miejscu, gdzie szosa załamuje się omal pod kątem prostym (stąd otrzymała nazwę złamanej szosy), mniej więcej koło północy wyskoczył z rowu mężczyzna z drągiem w ręku. Zatrzymał wóz i okładając jadących, zażądał wydania pieniędzy. Opornych zmuszał do posłuszeństwa drągiem, Żydówkom zdejmował z głowy peruki i z tego zakonspirowanego schowka wyjmował banknoty. Twarz miał częściowo zasłoniętą szmatą.

Napadnięci, wnosząc z głosu, ruchów i wzrostu napastnika, doszli zgodnie do wniosku, że napadu dokonał mieszkaniec Kozienic N. W rezultacie N. stanął przed sądem doraźnym w roli oskarżonego o zbrodnię rabunku. Po konferencji z podsądnym złożyłem podanie o wezwanie kilku świadków w celu ustalenia, że podsądny krytycznego wieczoru nie wydał się z domu i do późnej nocy był w ich towarzystwie. Ponadto prosiłem o wezwanie miejscowego aptekarza w celu stwierdzenia, że podsądny leczył się wówczas w związku z zapaleniem jąder na tle rzerzączki.

Sąd świadków powołał. Poszkodowani (a było ich kilkunastu) zgodnie stwierdzili, że podsądnego poznali po twarzy, ruchach i głosie. Świadkowie obrony ustalili, że w dniu krytycznym od godziny siódmej wieczorem przebywali w mieszkaniu podsądnego i prowadzili tam długie rozmowy, aż jeden z nich, rzuciwszy okiem na zegar wiszący na ścianie, zawołał: „Ażeśmy się zasiedzieli, przecież to już jedenasta godzina!”. Szybko więc pożegnali podsądnego i udali się do domu. Aptekarz z początku wahał

się, oglądał podsądnego, namyślał, aż wreszcie przypomniał sobie, że w czasie krytycznym zjawił się on w aptece. Podpierał się kijem, posuwał wolno nogami i z trudem się poruszał. Poprosił o lekarstwo przeciwko zapaleniu jąder.

W obronie udowodniłem alibi podsądnego, a nadto powołując się na zeznania aptekarza, starałem się przekonać sąd, że człowiek cierpiący na podobną niemoc nie może skakać, wywijać drągiem, przebywać konno czy wozem kilkunastu kilometrów itd. „Kto miał zapalenie jąder (*die Hodenentzündung*) — mówiłem — ten wie, że itd.” W tym miejscu jeden z ławników, porucznik piechoty, z całą wyrozumiałością skinął potakująco głową. Pomyślałem sobie: „Tyś miał zapalenie jąder i ty będziesz bronić podsądnego w czasie narad sądu!”

Po dłuższej naradzie sąd ogłosił wyrok uniewinniający, opierając swe przekonanie na udowodnionym alibi i zeznaniach aptekarza.

W jakiś czas później N. odwiedził mnie, prosząc o radę w innej sprawie. Wdał się przy okazji w dłuższą rozmowę ze mną. Korzystając ze sposobności, zapytałem go:

— Jakżeż to było z tym napadem w lesie?

Zamilkł na dłuższą chwilę, po czym oglądając się dokoła, szepnął:

— Powiem, panie poruczniku, ale niech mnie pan nie zdradzi! Ja tam byłem!

— No dobrze, ale przecież był pan w domu do godziny jedenastej w nocy!

— Świadkowie powiedzieli prawdę, tak było!

— No więc w jaki sposób znalazł się pan w godzinę później w lesie, na miejscu rabunku?

— Widzi pan, u mnie zegar jest od kilku miesięcy zepsuty. Jak stanął pół roku temu na jedenastej, tak stoi dotąd. Jeden z sąsiadów spojrział na zegar i zawołał: „Aleśwa się zagadali, no, no, już jedenasta” i poszli! Tak, tak, świadkowie powiedzieli prawdę.

— No a z tym zapaleniem jąder?

— I to też prawda.

— Idź pan, nie łżyj! — zawołałem.

— Ależ, panie poruczniku, mówię prawdę! Byłem w aptece, prosiłem o takie lekarstwo, wziąłem laskę, podpierałem się. Ale ja byłem zdrowy, lekarstwo kupowałem dla szwagra, ino on się wstydził iść do apteki, to mnie posłał. Tak, tak, pan aptekarz powiedział całą prawdę, ja byłem w aptece!

Mecenas Henryk Ettiŋger był doskonałym obrońcą, do-  
wcipnym, niekiedy złośliwym. W pewnej sprawie, w której występowałem  
w roli powoda cywilnego, on bronił. Przemówienie obrończe zaczął od

następującego powiedzenia: „Najwyższy już czas, aby z ram karnego procesu, w którym idzie o prawdę materialną — i tylko o prawdę — zniknął powód cywilny, który przychodzi tu po grosze i swoją obecnością zaśmieca przewód sądowy!”.

Sąd jakoś nie zwrócił uwagi na to „zaśmiecianie” przewodu sądowego. Wkrótce trafiła mi się pierwszorzędna okazja do rewanzu. W sądzie Apelacyjnym w Warszawie w sprawie Jana Czajki, oskarżonego o spowodowanie śmierci przez nieostrożność, którego broniłem, w roli pełnomocnika powoda cywilnego wystąpił Henryk Ettinger. Rozprawie przewodniczył prezes Supiński, b. minister, późniejszy prezes S.N., dobry znajomy Ettingera.

Przemówienie swoje zacząłem od dosłownego powtórzenia przytoczonej wyżej wypowiedzi Ettingera. Celowo mówiłem z pewną emfazą. Zauważyłem, że prezes Supiński skrzywił się, poruszył. Wtedy rzuciłem następujące zdanie: „Aby mnie nikt nie posądził o plagiat, muszę lojalnie przyznać, że nie jest to bynajmniej mój pogląd na rolę powoda cywilnego, lecz mego szanownego przeciwnika, wypowiedziany przed dwoma tygodniami w Sądzie Okręgowym w Warszawie pod moim adresem jako przedstawiciela powództwa cywilnego.”

Supiński uśmiechnął się, sędziowie spojrzeli na Ettingera, a ten udając dobrą minę, zrobił nieokreślony ruch głową.

R a b i n P o s n e r. Pełnił on przez długie lata ważną funkcję w czasie rozpraw sądowych: zaprzysięgał świadków wyznania mojżeszowego. Był to inteligentny człowiek, dowcipny. Zawsze starannie ubrany, nosił długą brodę, cylinder. Zdaje się, że wówczas drugim elegantem w Warszawie, który nosił stale cylinder, był znany oryginał kartograf Baze-wicz, z wąsiskami łokciowej długości.

W czasie mej pracy w prokuraturze warszawskiej musiałem raz udać się raniutko do cytadeli, aby być obecnym przy egzekucji Pariserberga, skazanego na karę śmierci za zniewolenie nieletniej dziewczyny i zamordowanie jej następnie przez utopienie w wannie.

Listopad. Mokry śnieg sypał grubymi płatami na drogę biegnącą wzdłuż Wisły. Brnęliśmy w błocie. Od rzeki wiał zimny, przejmujący wiatr. Obok skazańca kroczył w futrze rabin Posner. W pewnej chwili Pariserberg spojrział w górę i głośno powiedział: „Uj, co za pogoda!, uj, co za pogoda!”

W odpowiedzi na to rabin Posner odparł z całym spokojem: „Tobie to nic, ale ja muszę wracać!”

C a d y k w G ó r z e K a l w a r i i był potentatem i duchowym, i finansowym. Mieszkał w drewnianym kasztelu, otoczonym palisadą, i utrzy-

mywał duży dwór. Datki płynęły hojnie do jego skarbnicy nie tylko z Polski, ale i z dalekich krajów, głównie z Ameryki. A miał sekretarza Olbrowskiego (?), któremu przysługiwało wyłączne prawo otwierania listów nadchodzących do cadyka z zagranicy. Olbrowski korzystał ze swych uprawnień bardzo gorliwie i z listów amerykańskich wyjmował papierowe dolary, chował do własnej kieszeni, a listy odczytywał cadykowi, jeśli ten się do niego zwrócił. Po jakimś czasie przyłapano Olbrowskiego na podejrzanych manipulacjach, lecz dolarów nie zdołano u niego odnaleźć. Olbrowski stanowczo zaprzeczał, aby kiedykolwiek przywłaszczył sobie dolary. Na podstawie kilkunastu listów skonstruowano poszlakę. Cadyk polecił sprawę przekazać prokuraturze i w rezultacie Olbrowski stanął przed sądem w roli oskarżonego. Bronilem go.

Pewnego ranka ulicę Miodową na znacznej długości zalał tłum chasydów. Stali w zbitej masie, tłoczyli się na schodach w gmachu Sądu Okręgowego, wypełnili dużą salę rozpraw, w której aż pociemniało od chałatów. Trzymając jeden drugiego za chałat, utworzyli coś w rodzaju anteny, po której spływało na nich błogosławieństwo, bo tam w sali jakiś chasyd trzymał już samego cudotwórcę za chałat. Stali tak do późnego wieczora.

W czasie rozprawy okazało się, że cadyk nie zna języka polskiego. Trzeba było wezwać tłumacza. W rezultacie sąd Olbrowskiego uniewinnił od zarzutu przywłaszczenia dolarów.

W jakiś czas później stwierdziłem, iż Żydzi ortodoksyjni omijają moją kancelarię. Gdy jednego z nich zapytałem o powód tej absencji, odrzekł: „Panie mecenaszu, co pan chce, przecie pan obraził cadykowi. On przez pana przegrał sprawę, on na pana rzucił heiruf(?). Wiesz pan, co to jest?!”

Rzeczywiście, przez kilka lat żaden Żyd chodzący w chałacie nie pokazał się w moim gabinecie.

Z podobnym „heirufem”, lecz w innym wydaniu, że tak powiem, spotkałem się po procesie więźniów brzeskich. Żydzi wycofali ode mnie powierzone mi sprawy. Gdy zapytałem, dlaczego to robią, otrzymałem odpowiedź: „Ja wim, co pan mecenas może dobrze bronić, ale widzisz pan, pan zadarł z rządem, z prokuratorami, z sądem, to nie dobrze! A ja potrzebuję wygrać moją sprawę!”

I odchodzili. Nie tylko Żydzi. Inteligenci robili to samo. Pozostali jedynie chłopi. W toku śledztwa, gdy szło o uchylenie aresztu lub umorzenie postępowania, nie ujawniałem swego pełnomocnictwa, prosiłem „nie skompromitowanego” kolegę o interwencję.

Pułkownik Jagrym Maleszewski był inwalidą, stracił nogę w szarży pod Rokitną. Czasem chadzał o kuli, kiedy indziej znów

korzystał z protezy. Często chodził w cywilnym ubraniu. Któregoś dnia, będąc w cywilnym ubraniu, usiłował wejść do tramwaju przez przedni pomost. Motorniczy nie zauważył protezy, zażądał, by wysiadł, a następnie usiłował go wypchnąć. Wywiązała się wymiana słów i w rezultacie Maleszewski zwrócił się do mnie z prośbą o wniesienie skargi przeciwko motorniczemu o zniewagę.

Po wysłuchaniu relacji powiedziałem:

- Dobrze, panie pułkowniku, wniosę skargę, obawiam się jednak, że motorniczy powoła na swą obronę ze dwóch policjantów, którzy stwierdzą pod przysięgą, iż to pan go obraził!
- Zapewniam pana, panie mecenasie, nie było przy tym policjantów. Na pomoście stało tylko tych dwóch ludzi, których nazwiska podałem.
- To nie przeszkadza, mogą się znaleźć!

Maleszewski przerażony, poprosił o współudział w sprawie kolegę Paschalskiego. Jakież było jego zdziwienie, gdy na rozprawie w sądzie pokoju adwokat Berland, obrońca motorniczego, zgłosił wniosek o odroczenie rozprawy i wezwanie dwóch funkcjonariuszy PP, którzy ustalą, że itd.

Przegraliśmy sprawę we wszystkich instancjach. W trzy lata później Maleszewski został mianowany komendantem Policji Państwowej. Spotkałem go w gmachu Sądu Apelacyjnego.

- Co pan tu robi, panie pułkowniku? — zapytałem.
- Przyszedłem z wizytą do prokuratora apelacyjnego. Trzeba „amcić”, zostałem komendantem Policji Państwowej, jak panu może wiadomo.
- A to doskonale się składa, panie pułkowniku! Świetnie! Niechże pan i ode mnie przyjmie życzenia. Proszę sobie na wstępie urzędowania przypomnieć przegrany sromotnie proces z tym motorniczym tramwaju i zeznania owych policjantów! To panu doskonale zrobi! Wprowadzi pana na właściwą drogę.
- Fe! fe! Ależ mnie pan zajechał, no — no!

Prokurator Sądu Okręgowego w Łucku Izdebski, człowiek starszy (był prokuratorem w Rosji carskiej), znalazł się w Warszawie w towarzystwie kilku znajomych, którzy zaprosili go na kolację do restauracji w Dolinie Szwajcarskiej. Ponieważ towarzystwo zaczęło pić, a Izdebski wódki nie znosił, więc postanowił ulotnić się po angielsku. Wstał od stołu pod pretekstem udania się do pewnego miejsca, uregulował za siebie rachunek i znalazł się w szatni. I tu wyłoniła się trudność nie do pokonania!

Garderobiana odmówiła wydania mu palta, a bilet na okrycie znajdował się w kieszeni jednego ze znajomych. Izdebski okazał jej swą legitymację. Nic nie pomogło. Nadszedł policjant. Izdebski zwrócił się do niego



z prośbą o interwencję. Policjant obejrzał legitymację i wypalił: „To, że pan ma tę legitymację, to jeszcze nie znaczy, że pan pozostawił w garderobie okrycie!”

Izdebski zirytowany odrzekł: „Gdyby w moim okręgu policjant tak się zachował jak wy, to bym postarał się o to, aby go usunięto ze służby na zбитy łeb!”

W tejże chwili w hallu zjawił się nadkomisarz PP. Izdebski podszedł do niego, przedstawił się, opowiedział, o co mu idzie, i poprosił o interwencję. „Ależ, oczywiście, panie prokuratorze, chętnie służę, proszę bardzo” — i zwracając się do garderobianej, rzekł: „Proszę wydać palto panu prokuratorowi. Pan prokurator pozwoli, proszę wskazać palto, dobrze, pan prokurator pozwoli, że pomogę, proszę bardzo, moje uszanowanie!”

Stojący z boku podoficer PP, widząc, jak nadkomisarz skacze koło prokuratora, najpierw zgłupiał, potem wystraszył się, w końcu postanowił zabezpieczyć się na wszelki wypadek. Podszedł do nadkomisarza, wyprężył się i posłusznie zameldował, że ten pan, który przed chwilą wyszedł, znieważył go czynnie, bo uderzył go legitymacją w nos i nazwał durniem! — Co mam robić, panie nadkomisarzu?

— To wasza sprawa, mnie to nie obchodzi. Możecie złożyć zameldowanie!  
— odrzekł i skierował kroki do restauracji.

Po upływie pewnego czasu prokurator Izdebski został skazany przez Sąd Pokoju — za znieważenie policjanta będącego na służbie — na dwa tygodnie bezwzględnego aresztu. Po ogłoszeniu wyroku zgłosił się do mnie i powierzył mi swą obronę. Trudny to był klient. Przypominał mi owego prezesa sądu z powieści Ernesta Lothara pt. „Młyn sprawiedliwości”, który siedząc na ławie oskarżonych jeszcze się szarogęsi i rządzi. Z trudem, podkreślam, nakłoniłem go do złożenia właściwych wyjaśnień, które kilka razy z nim omawiałem.

Rozprawie przewodniczył sędzia Koziół-Poklewski, oskarżał prokurator Seweryn Walfisz. Izdebski składając wyjaśnienia, plótł androny, głądził, rozwódził się, odbiegał od tematu, irytował się. Szepnąłem kilka razy (siedział obok mnie za zezwoleniem sądu): „Dość, dość!”, a w końcu pociągnąłem go za rękaw marynarki. Sprawa zakończyła się zmianą kwalifikacji i wymierzeniem kary pieniężnej.

Na sesji w Łukowie. Pojechałem raz do Łukowa, małej powiatowej miejsciny, na sesję wyjazdową Sądu Okręgowego w Siedlcach. Szczegółów sprawy już nie pamiętam. Pozostały mi w pamięci: wypełniona po brzegi ludźmi sala, w której unosił się bardzo niemiły zapach i zaduch. Sprawę sądził jednoosobowo wiceprezes, starszy, siwy pan o zlek-

ka trzęsącej się głowie. Broniąc udowadniałem, że w czynie przypisanym podsądnemu nie ma cech przestępstwa, toteż byłem zaskoczony wyrokiem skazującym na sześć miesięcy więzienia.

W czasie przerwy zwróciłem się do sędziego.

- Panie prezesie, przecież tu nie ma cech przestępstwa!
- Nie ma! — odpowiedział — ma pan rację, nie ma! Ale świństwo jest! I to wielkie! I pan chce, abym ja tu w wypełnionej sali uniewinnił takiego draba i niejako powiedział mu: „Idź draniu i rób dalej to świństwo, jesteś wolny!” Ja wiem, że sąd apelacyjny go uniewinni, ale tam nie będzie tłumu w sali i nikt się tym nie zgorszy!

Wypowiedź starego sędziego zapadła mi głęboko w pamięć i pomyślałem: „Bo ja wiem, a może on ma i rację!” Chociaż ściśle przestrzeganie prawa jest najlepszym środkiem wychowawczym!

Redaktor odpowiedzialny „Wiadomości Literackich” w Warszawie, Grydzewski, stanął przed sądem w roli oskarżonego o zniesławienie artysty malarza Buchbindera(?), który uczuł się srodze dotknięty m.i. wypomnieniem mu, że był Żydem i przeszedł na katolicyzm. Boy-Żeleński, redaktor pisma, za poradą Tuwima skierował Grydzewskiego do mnie.

W obronie udowadniałem, że w notatce umieszczonej w „Wiadomościach Literackich” nie ma cech zniesławienia. Buchbinder jest z pochodzenia Żydem i przypomnienie tego niewątpliwego faktu, bez wyciągania zeń jakichkolwiek wniosków dlań niekorzystnych, nie może być uznane za zniesławienie. I tu wymieniłem znanych uczonych, pisarzy, poetów, artystów Żydów, którzy położyli wielkie zasługi na polu nauki, literatury i sztuki polskiej. Wymieniłem również Leona Wachholza, znanego profesora U.J. w Krakowie.

„Wiadomości Literackie” umieściły sprawozdanie z przebiegu procesu i podały w streszczeniu moje przemówienie. W kilka dni później otrzymałem od prof. Wachholza list, w którym jak najbardziej stanowczo prostuje moje twierdzenie i wyjaśnia, że rodzina jego była i jest w pełni aryjskiego pochodzenia. Wywodzi się z Rzeszy, z Nadrenii, skąd jeden z jego przodków przybył z końcem XVIII w. do Białej na Śląsku Cieszyńskim i tam się osiedlił, dalej — że ojciec jego Antoni, syn Anny z Hendlerów i Franciszka, był profesorem U.J., a matka jego pochodziła z Zagórskich i była Aryjką. W końcu zażądał, abym sprostował swoje twierdzenie o jego rzekomo żydowskim pochodzeniu.

W nrze 22 „Wiadomości Literackich” z 1929 r. ukazała się notatka pt. „Prawda o rodzinie prof. U.J. dra Wachholza”. Buchbinder niewątpliwie notatkę tę przeczytał. Ciekawym, jakich doznał wówczas uczuć!

„Związek badaczy Pisma Świętego” w Warszawie powierzył mi obronę trzech swoich adherentów w radomskim sądzie okręgowym na sesji wyjazdowej w Sandomierzu. Przystudiowałem akta, odbyłem naradę z oskarżonymi i ustaliłem, że cała ich „zbrodnia” polegała na tłumaczeniu wersetów Pisma Świętego w sposób odpowiadający ich wykształceniu, bez jakichkolwiek zamierzeń naigrawania się z wierzeń innych ludzi.

W drodze do Sandomierza zatrzymałem się w Tarnobrzegu, gdzie przez z górą trzy godziny czekałem na połączenie kolejowe z Sandomierzem. Było lato, ciepło, pogodnie. Wybrałem się na zwiedzanie miasteczka, pograżonego we śnie, jako że była wczesna godzina ranna. Chodząc po ulicach, czytałem z nudów szyldy. Zainteresował mnie jeden: wymalowany na długiej desce widniał z daleka napis: „krawiec męski, damski i amerykański”. Było to w okresie reemigracji z USA, kiedy widywaliśmy młodych ludzi w bardzo szerokich spodniach i obszernych marynarkach.

Rozprawę wyznaczono w starym, zabytkowym gmachu renesansowym, mieszczącym w swych apartamentach ratusz. W dużej sali, na ścianach piętrowej wysokości wisiały stare miecze, groźne zerwikaptury, kolczugi, hełmy, berdysze. Spojrzałem na nie i przypomniały mi się czasy, kiedy to heretykom takimi mieczami ścinano głowy. Moi klienci, ojciec i syn Celenowie wraz z trzecim podsądnym, którego nazwiska nie pamiętam, stłoczyli się trwożnie na ławie i czekali na rozpoczęcie rozprawy. Wtem otworzyły się drzwi, ciężkie, kowane i na salę wmaszerowało kilkudziesięciu alumnów miejscowego seminarium duchownego z regensem na czele, zdaje się, ks. Górskim, którego sąd powołał w roli biegłego w sprawie nieszczęsnych badaczy Pisma Świętego.

W kilka godzin później rozprawa zakończyła się wyrokiem uniewinniającym. Ksiądz regens był bardzo niezadowolony ze mnie. Irytowało go moje przemówienie, w którym poddałem krytyce nie tylko jego opinię, lecz tu i ówdzie pozwoliłem sobie na pewne przycinki. Nie panując nad swym oburzeniem z powodu wyroku uniewinniającego, który niesłusznie przypisywał całkowicie mej obronie, zwrócił się do mnie z następującymi słowami: „Gdybym był mógł się czegoś podobnego spodziewać, nigdy bym tu moich alumnów nie sprowadzał! Pańskie przemówienie było gorzkie, panie mecenasie! Proszę mi wierzyć!” Odparowałem: „Sąd jednak się nie zgorszył, jak o tym ksiądz profesor miał możliwość się przekonać. Jakżeż zatem mogę księdzu uwierzyć, skoro i sąd nie dał mu wiary, bo nie podzielił jego opinii?”

Dr Siewski i jego sprawa. Włodzimierz Perzyński napisał

doskonałą sztukę pt. „Uśmiech losu”. Sztuka cieszyła się dużym powodzeniem. W roli głównej wystąpił znakomity aktor Stefan Jarosz, mój stary znajomy i kolega szkolny. Rola dra Siewskiego w „Uśmiechu Losu” stanęła godnie obok Smugonia w „Przepióreczce”, Szeli w „Turonii”, Felicjana Dulskiego w sztuce Zapolskiej, Rejenta w „Zemście”, obok ról w „Skąpcu”, „Szwejku” oraz wielu innych kreacji.

Redakcja „Czerwonego Kuriera”, zachęcona widocznie powodzeniem, postanowiła z tej sztuki, zawierającej problem związany z wymiarem sprawiedliwości, zrobić pewnego rodzaju transkrypcję i przenieść proces ze sztuki na łamy dziennika. Kolega Stefan Perzyński, kuzyn Włodzimierza, podjął się roli oskarżyciela. Mnie redakcja powierzyła obronę dra Siewskiego. „Czerwony Kurier” zamieścił krótkie streszczenie sztuki ze specjalnym podkreśleniem zagadnienia karnego, a następnie wydrukował treść oskarżenia i obrony. Sprawę oddano do rozstrzygnięcia czytelnikom dziennika, którzy mieli nadesłać do redakcji kartki z odpowiednim napisem: winien lub nie winien.

Gwoli wyjaśnienia, muszę dorzucić kilka słów. Siewski, dr filozofii, zblazowany inteligent, bez zajęcia, spotyka swego dawnego kolegę szkolnego z gimnazjum. Kolega jest zamożnym człowiekiem, bogaczem, dorobił się fortuny na spekulacji. W szkole był tumanem, leniem, wylano go z trzeciej klasy. W życiu radził sobie doskonale! Rozwodzi się z żoną i szuka świadka, który by ustalił fakt wiarołomstwa po stronie żony. I oto natknął się na biednego kolegę, bez grosza w kieszeni. Zapropomował mu wystąpienie w procesie rozwodowym w roli świadka i przyrzekł duże wynagrodzenie w zamian za fałszywe zeznanie. Dr Siewski po krótkim ociąganiu się zgodził się, złożył fałszywe zeznanie, lecz wkrótce później targnął nim gwałtowny bunt przeciwko upadłej roli, jaką mu narzucił spekulant, i pod wpływem uniesienia zabił wystrzałem z rewolweru niecnego koleżkę.

Rozmawiałem z Jaraczem o sztuce i jego roli. Powiedział mi: „Widzisz, znowu gram siebie!” I tu przypomniał mi pewną scenę, w części jeno zbliżoną do roli w „Uśmiechu losu”.

Czytelnicy „Czerwonego Kuriera” nadesłali około dziesięciu tysięcy odpowiedzi. Dr Siewski został „uniewinniony”, i to olbrzymią większością głosów, bo podobno nadesłano dziewięć tysięcy odpowiedzi: nie winien!

Włodzimierz Perzyński przysłał mi egzemplarz swojej powieści z b. miłą dedykacją jako honorarium za obronę dra Siewskiego.

Sprawa Haliny Krahełskiej. Ciężkie warunki materialne, daremne domaganie się podniesienia stawek zarobkowych doprowadziły

w marcu 1936 r. do strajku w wielu fabrykach w Krakowie, a następnie i w okolicznych miejscowościach. Do krwawych starć doszło w fabryce opon samochodowych „Semperit” w Krakowie, którą strajkujący okupowali. Z polecenia władz wojewódzkich policja postanowiła siłą usunąć strajkujących. Nieoczekiwanie silny opór stawiały kobiety. Policjanci użyli siły, wyrzucili kobiety z zabudowań fabrycznych, przy czym wiele z nich odniosło rany. Pobite, pokrwawione znalazły się na ulicy. Załoga „Semperitu” zażądała ogłoszenia strajku powszechnego. Rzeczywiście, dnia 23 marca wybuchł strajk powszechny. Na ulice Krakowa wyruszył w pochodzie tłum strajkujących robotników. Na Basztowej i dalej koło Barbakanu policja otworzyła ogień. Demonstranci z ławek i autobusów zbudowali barykady. Zaczęła się walka, połała się krew, padli ranni, byli i zabici. Wojewoda Świtalski pod naciskiem prasy robotniczej oraz uchwał Komisji Centralnej Związków Zawodowych zezwolił na oficjalny pogrzeb ofiar. W głuchym milczeniu 50 tysięcy ludzi posuwało się ulicami Krakowa za trumnami, kilkadziesiąt delegacji z całego kraju niosło wieńce.

Na tle tych wydarzeń znana pisarka Halina Krahelska napisała powieść pt. „Polski strajk”. Ledwie powieść ukazała się w księgarniach, a już prokuratura wytoczyła jej proces karny o zniewagę wojewody krakowskiego, inspektora pracy, a przede wszystkim Policji Państwowej.

Zanim powieść zdołała się rozejść w niewielkiej liczbie egzemplarzy, już władze skonfiskowały nakład, a ołówek cenzora skreślił znaczą część tekstu. Ukazało się drugie wydanie z licznymi białymi plamami.

Dnia 13 maja 1937 roku w sali Sądu Grodzkiego przy ul. Kruczej nr 10 wyznaczono rozprawę. O terminie doniosły wszystkie dzienniki warszawskie; w niektórych pojawiły się nawet wymowne komentarze, podkreślające ciężar „zbrodni” popełnionych przez działaczkę socjalistyczną, oskarżoną o publiczne pochwalanie przestępstw.

Na prośbę Krahelskiej podjąłem się jej obrony. Oskarżał prokurator Marcinkowski, sędził sędzia Rudnicki. Proces wywołał żywe zainteresowanie zarówno w prasie, jak i wśród publiczności. Do niewielkiego gmachu Sądu Grodzkiego przybyło sporo ludzi, musieli oni jednak opuścić salę rozpraw, gdyż sąd na wniosek prokuratora wyłączył jawność rozprawy — wbrew memu sprzeciwowi. Prokurator uzasadniał swój wniosek tym, że jawność rozprawy doprowadzi do zamieszczenia w prasie sprawozdań również i z tych fragmentów powieści, które uległy konfiskacie. Oponowałem tłumacząc, że akt oskarżenia opiera się nie tylko na skonfiskowanych fragmentach powieści, że przecież prasa codziennie podaje wiadomości o przebiegu strajków, blokad fabryk i wiadomości

te nie są konfiskowane! Czymżeż więc wytłumaczyć te obawy prokuratury? Niestety, sąd zarządził tajność rozprawy na czas omawiania skonfiskowanych fragmentów. W rzeczywistości zresztą rozprawa odbywała się cały czas przy drzwiach zamkniętych.

Proces trwał pełne dwa dni. Przesłuchano kilkunastu świadków przybyłych z Krakowa, przeważnie funkcjonariuszy PP, którzy opisywali przebieg strajku i krwawych demonstracji. Sąd i prokuratura starały się wydobyć z zeznań świadków opisy demonstracji krakowskich w formie możliwie najbardziej zbliżonej do fabuły w powieści, tak jakby powieść Krahelskiej była reportażem. Zażądałem dopuszczenia biegłych celem udowodnienia, że faktura w powieści tylko w pewnej części związana jest z rzeczywistością, że nie można powieści traktować jako prostego reportażu, opisu wydarzeń i czynić go przedmiotem oskarżenia oraz imputować autorce, iż chciała znieważać pewne instytucje, urzędy, dygnitarzy itd., wreszcie że każdy pisarz przemawia ustami bohaterów swej powieści i daje wyraz aprobaty pewnym aktualnym poglądom społecznym i politycznym. Jako biegłych zaproponowałem znakomitą powieściopisarkę Zofię Nałkowską i krytyka J. N. Millera, którzy zaproszeni przez Krahelską przybyli do sądu. Niestety, sąd oddalił i ten mój wniosek i nie dopuścił biegłych do głosu! Na korytarzu sądowym Nałkowska w towarzystwie znajomych czekała kilka godzin na ewentualne dopuszczenie jej w roli biegłej, gdyż zapowiedziałem ponowne zgłoszenie wniosku w tej sprawie. Nadaremnie!

Następnego dnia przyniosłem do sądu walizkę pełną książek. O ile mnie pamięć nie zawodzi, przyniosłem „Tkaczy” Hauptmanna, „Grzęzawisko” Uptonia Sinclaia, „Przedwiośnie” Żeromskiego, „Czarne skrzydła” Kaden-Bandrowskiego, historię procesów pisarzy francuskich w XIX w. (pożyczył mi ją kol. Gustaw Beylin) i kilka innych tomów. Nadto małą rozprawę J. Weysenhoffa pt. „Autor i jego dzieło”. Starałem się przekonać sąd, że autorzy w swych powieściach poddawali i poddają krytyce rzeczywistość, często bardzo surowej ocenie, lecz dzieła autora nie można traktować jako przestępstwa i dowolnie łączyć z pewnym wydarzeniem! Powoływałem się na rezultaty procesów znakomitych pisarzy francuskich, m.i. Gustawa Flauberta, autora znanej powieści „Madame Bovary”.

Nareszcie sąd zgodził się na biegłego. Zezwolił mi powoływać się na dzieła wymienionych wyżej pisarzy, a w szczególności na pracę J. Weysenhoffa, którego rozprawę potraktował jako *sui generis* opinię biegłego.

Ciężka to była walka z ówczesnym klimatem politycznym, nastawieniem prokuratury, uległością sądów w sprawach politycznych.

Przemawiałem dość długo, zwalczałem zarzuty aktu oskarżenia, stara-

łem się udowodnić ich bezzasadność, co mi się w znacznej mierze udało. Kończąc obronę stwierdziłem, że proces Haliny Krahelskiej jest pierwszym w niepodległej Polsce, w którym przed sądem staje pisarz, oskarżony o popełnienie przestępstwa przez włożenie pewnych słów w usta bohaterów utworu literackiego!

W rezultacie sąd uniewinnił Krahelską od zarzutu zniewagi wojewody, kierownika inspektoratu pracy, natomiast uznał ją za winną zniewagi policji państwowej i skazał na grzywnę w wysokości tysiąca złotych.

W kilka dni później otrzymałem od Krahelskiej egzemplarz powieści z serdeczną dedykacją i podziękowaniem za obronę.

Chciałbym jeszcze na marginesie tej sprawy napisać kilka słów o Krahelskiej. Przed pierwszą wojną światową pracowała w PPS — frakcji rewolucyjnej, następnie na południu Rosji w partii socjal-rewolucjonistów. Na krótko przed wybuchem wojny została aresztowana i zesłana następnie bezterminowo na Syberię, skąd po rewolucji wróciła do Odessy. Po odzyskaniu niepodległości wróciła do kraju w r. 1919. Przez wiele lat pracowała bardzo intensywnie na stanowisku inspektora pracy, poświęcając wiele uwagi i pracy ochronie kobiet i opiece nad dzieckiem robotniczym. Z jej to inicjatywy zaczęto tworzyć żłobki dla dzieci w miejscach pracy.

Po dziesięciu latach pracy na stanowisku inspektora pracy przekonała się, że sfera uprawnień inspektoratu pracy ulega systematycznemu ograniczeniu, a rola inspektora, rzecznika klasy robotniczej, przeradza się niejako w organ wyzysku. Zrezygnowała więc z tego stanowiska i zabrała się do pracy, której rezultatem było dwutomowe dzieło pt. „Ze wspomnień inspektora pracy”, napisane z udziałem M. Kirstowej i St. Wolskiego. W pracy tej dała wyraz swym poglądom, piętnując wyzysk ekonomiczny robotnika i kreśląc wymownie warunki życiowe klasy robotniczej.

W kilka lat po procesie zetknąłem się z nią przypadkowo w mieszkaniu przy ul. Filtrowej w Warszawie. Ukrywała się pod przybranym nazwiskiem z obawy przed aresztowaniem. Znalazł się jakiś nikczemnik, który ją wydał. Zginęła w obozie w Ravensbrück.

Maria Ciunkiewiczowa była „bohaterką” bardzo emocjonującego procesu karnego w Krakowie w r. 1931. Dzieje jej życia — podobnie jak i przebieg procesu — zawierały wiele momentów fascynujących.

Po rozejściu się z mężem, obywatelem ziemskim w lipnowskim, wypłynęła w Paryżu i tu dzięki pomocy i przyjaźni wybitnego dyplomaty, przedstawiciela jednego z wielkich mocarstw, zdobyła w szczęśliwej grze na giełdzie znaczny majątek. Nabyła kilka domów, majątek ziemski Ezy

w Normandii i zgromadziła wspaniałą biżuterię, którą ubezpieczyła w paryskim Lyodzie na pięć milionów franków!

W 1930 r. przyjechała do Warszawy w celu odwiedzenia rodziny. Mieszkała tu jej matka i dwie siostry. Przywiozła też ze sobą ową biżuterię. Sprezentowała ją w hotelu Europejskim rodzinie i znajomym. Któż kobieta nie pochwaliby się takimi pięknościami!? Następnie udała się do Krakowa, gdzie zatrzymała się w Grand-Hotelu.

Prosty przypadek sprawił, że spotkała w Krakowie dawną swą znajomą, przed którą również nie omieszkała pochwalić się skarbami niewieścimi. Znajomej, oczywiście, biżuteria bardzo się spodobała. A miała owa znajoma bliskiego sobie człowieka, b. oficera zdegradowanego wyrokiem sądowym, karanego później w północnych Włoszech za usiłowane obrabowanie listonosza. Opowiedziała mu z zachwytem o biżuterii Ciunkiewiczowej. W dwa dni później Ciunkiewiczowa spędziła kilkanaście godzin w towarzystwie znajomej i dopiero późnym wieczorem powróciła do hotelu. Jakież było jej przerażenie, gdy w walizce zamykanej na wymyślne zamki nie znalazła biżuterii! Rozpacz, alarm, portier, policja, detektywi — nic nie pomogło. Biżuteria przepadła! Sprawca nie pozostawił najmniejszych śladów swej wytrawnej manipulacji.

Po umorzeniu śledztwa w sprawie kradzieży biżuterii, zwróciła się Ciunkiewiczowa do paryskiego Lyodu z żądaniem wypłacenia premii ubezpieczeniowej. I od tej chwili zaczęły się dziać przedziwne rzeczy. Lyod odmówił wypłaty. W skardze złożonej krakowskiej prokuraturze zarzucił Ciunkiewiczowej, że ukryła biżuterię i symulując kradzież, zażądała wypłaty premii.

Sędzia śledczy Wątor, który wszczął w tej sprawie śledztwo, natychmiast osadził Ciunkiewiczową w areszcie. W tym właśnie czasie zgłosił się do mnie jej małżonek i powierzył mi obronę. Pospieszyłem do Krakowa, przeprowadziłem rozmowę z sędzią Wátorem, który nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Udzieliłem substytucji kol. Zopothowi w Krakowie do opieki nad śledztwem.

Wkrótce później w mym gabinecie w Warszawie zjawił się agent Lyodu Dutry i po bardzo ugrzecznionych wywodach zaproponował mi łapówkę w zamian za takie prowadzenie obrony, która by doprowadziła do skazania Ciunkiewiczowej. Dutry szybciej, niżeli tego się spodziewał, znalazł się za drzwiami mego mieszkania!

W jakiś czas później dowiedziałem się, że sędzia Wątor po przybyciu do Warszawy, zamiast zwrócić się do prezesa sądu o przydzielenie mu gabinetu, w którym mógłby przesłuchiwać świadków, zakwaterował się w hotelu Europejskim. Tu przesłuchiwał świadków, tu wieszając krzyżyk



na firance od okna zaprzysięgał ich, tu wszedł w kontakt z reporterem jednego dziennika i za jego pośrednictwem puścił do prasy warszawskiej tendencyjne i bardzo niekorzystne dla Ciunkiewiczowej sprawozdanie z dotychczasowego śledztwa.

Zestawienie wizyty agenta Dutry z ową gorliwością Wątora dało mi wiele do myślenia. Zacząłem szperać i wkrótce otrzymałem bliższe, konkretniejsze dane. Udałem się do Krakowa i w rozmowie z sędzią Wąto-rem, w obecności kol. Zopotha, poruszyłem sprawę zwolnienia z aresztu Ciunkiewiczowej. Odmówił, i to bardzo stanowczo! Zagadnąłem go następnie, czy wybiera się wieczorem do Warszawy do Ministerstwa Sprawiedliwości? Zaprzeczył z pewnym zdenerwowaniem w głosie.

— A ja wiem, że pan tam jedzie, i to dziś! — wypaliłem mu prosto w twarz. Zdaje się, iż nie będzie to przyjemna rozmowa! — dorzuciłem.

Kol. Zopoth przeraził się i zaraz na korytarzu zrobił mi wymówkę, jak mogłem coś podobnego powiedzieć panu „radcy”!

Wieczorem spotkałem Wątora w pociągu. Jechał do Warszawy. Po powrocie do Krakowa złożył podanie o zwolnienie go ze służby w sądownictwie. Śledztwo objął inny sędzia, który wkrótce zwolnił Ciunkiewiczową z aresztu. Ponieważ kol. Zopoth zrzekł się substytucji, powierzyłem nadzór nad sprawą koledze X. W tym okresie zajęty byłem obroną w procesie więźniów brzeskich. Śledztwo w sprawie Ciunkiewiczowej toczyło się dalej. Odwiedzała mnie dość często w Warszawie. Na jej prośbę korespondowałem z jej radcą prawnym, adwokatem Moro-Giaferi w Paryżu, późniejszym ministrem sprawiedliwości.

Na jakiś czas przed wyznaczeniem terminu rozprawy zauważyłem, że Ciunkiewiczowa zmieniła wyraźnie swój stosunek do mnie. Zażądałem wyjaśnień. I wtedy ku memu zdziwieniu i zgorszeniu dowiedziałem się, że kol. X. poradził jej, aby stanowczo zrezygnowała z mojej osoby jako obrońcy, że ja obecnie po wystąpieniu w procesie więźniów brzeskich nie będę dobrze widziany przez sędziów w Krakowie, że może się to odbić niekorzystnie na losach jej sprawy. Prosiła mnie o wybaczenie, o zrozumienie jej sytuacji itd.

Cóż miałem począć? Zrezygnowałem z obrony, lecz zastrzegłem sobie, że ujawnię ten fakt w przeddzień rozprawy sądowej. Tak się też stało. Ciunkiewiczową skazał Sąd Okręgowy w Krakowie zdaje się, na, trzy lata więzienia. W krakowskim „Ilustrowanym Kurierze” ukazało się sprawozdanie z procesu. Utkwił mi w pamięci wstęp obrony wygłoszonej przez kol. X, zaczynający się mniej więcej od następujących słów: „Gdybym zdjął w tej chwili togę z ramion, powiesił ją na kołku i nic nie powiedziawszy, wyszedł z tej sali, to wasz wyrok, panowie sędziowie,

byłby taki sam!” Słusznie sprawozdawca IKC zapytywał: „Po cóż więc pan podejmował się obrony?” Kol. X dawno już nie żyje. Jakie kierowały nim intencje w ogóle, a w stosunku do mnie w szczególności, nie chcę się w nie zagłębiać.

Sprawa Ciunkiewiczowej znalazła później swój epilog w procesie o zniesławienie, jaki wytoczył Wątor redaktorowi odpowiedzialnemu IKC. W roli obrońcy wystąpił mec. Hofmokl-Ostrowski, który w celu udowodnienia, że Wątor wziął łapówkę od agenta Dutry, powołał w roli świadków prezesa S. A. w Krakowie Parylewicza, dyrektora biura personalnego w Ministerstwie Sprawiedliwości Wacława Dlouhego oraz mnie. Obaj dygnitarze zasłonili się tajemnicą służbową i odmówili zeznań! Ja wygarnąłem wszystko, co wiedziałem, a wiedziałem sporo. Sąd uniewinnił redaktora IKC. Sąd przyjął zarzut wzięcia łapówki przez Wątora od agenta Dutry’ego za udowodniony. Dziwnym jeno wydać się może to, iż z faktu tego władze ówczesne nie wyciągnęły właściwych konsekwencji w stosunku do Wątora.

Sprawą Ciunkiewiczowej już po uprawomocnieniu się wyroku zajmował się mec. Hofmokl-Ostrowski. O ile mnie pamięć nie zawodzi, nie doprowadził on do zmiany wyroku. W kilka lat później Ciunkiewiczowa zmarła.

W jakiś czas po wyzwoleniu odwiedziłem jednego z mych kolegów w Warszawie. W pokoju zastałem kilka osób. Uwagę moją zwróciła starsza dama. Nie mogłem sobie w pierwszej chwili przypomnieć, skąd ją znam. Zapytałem gospodarza o nazwisko. Nie pomyliłem się. W pewnej chwili korzystając z tego, że kolega opowiadał gościom jakąś ciekawą sprawę karną, zacząłem i ja opowiadać o procesie Ciunkiewiczowej, nie spuszczając przy tym oczu z owej siwowłosej pani. Siedziała niespokojnie, zaciskała dłonie. Spoglądała na mnie od czasu do czasu jaszczurczym okiem. Eh, gdyby można zabijać wzrokiem, dawno bym już nie żył! Była to znajoma Ciunkiewiczowej z Krakowa, której ta sprezentowała swoją biżuterię.

Grzegorz Fitelberg. Nie pomnę już dobrze, w którym to było roku. Wychodził w Warszawie tygodnik pt. „Merkuriusz Ordynaryjny” o mocno faszystowskim zacięciu. W tym to tygodniku w sposób wcale „ordynaryjny” napadli redaktorzy (a było ich dwóch) na Grzegorza Fitelberga, znanego dyrygenta, cieszącego się zasłużonym uznaniem swoich i obcych. Zarzucili mu, że dla korzyści materialnych udaje Polaka, że jest Żydem z pochodzenia, w dodatku litwakiem nienawidzącym Polski, że w młodości swej uważał się za moskala, gardził mową polską i przebywał wyłącznie w towarzystwie moskali. Fitelberg, dotknięty do

żywego napaścią, zjawił się w mym gabinecie i poprosił o wytoczenie sprawy karnej redaktorem „Merkuriusza” o zniesławienie. Po otrzymaniu wyczerpujących informacji wniosłem skargę.

Był to ciekawy proces. W ciągu trzech dni na sali i przez salę sądową przewinał się ówczesny świat artystyczny z warszawskim konserwatorium na czele. W roli świadków wystąpili m.i. Henryk Sztompka, znakomity pianista, Eugenia Umińska, znana skrzypaczka, Bandrowska-Turkska, świetna artystka operowa, Z. Drzewiecki, prof. konserwatorium, i wielu, wielu innych.

Oskarżeni starali się przekonać sąd o prawdziwości zarzutów, a w końcu zaczęli mówić o swej dobrej wierze. Powołali m.i. jakiegoś świadka, b. niewyraźne indywiduum, które podobno kiedyś przed wielu laty widziała w Wilnie Fitelberga w papasze i rubaszce. Miał iść ulicą w towarzystwie znajomych i głośno mówić po rosyjsku. Zorientowałem się, iż mam przed sobą głupca, któremu należy rzucać pytania krótkie, proste, dociekliwe, jedno po drugim, szybko, tak by nie miał czasu do namysłu i łgarstwa! Zgodnie z tym założeniem rzuciłem szereg pytań: Kiedy to było? co wówczas robił w Wilnie? czy znał przed tym Fitelberga? gdzie go poznał? w jakim wieku był wówczas Fitelberg? dlaczego się zainteresował tym? itp. Te proste pytania doprowadziły do zupełnego zdemaskowania kłamcy. Zjawili się i inni świadkowie ze strony podsądnych, lecz z bezpośredniej obserwacji nic nie wnieśli do sprawy.

Proces zakończył się skazaniem obu podsądnych. Spojrzałem na Fitelberga. Otarł pot z czoła i pogodnym okiem spojrzał przed siebie. Przez cały czas procesu siedział milczący, przygnębiony, smutny. W chwilach, w których świadkowie zeznawali na jego korzyść, jakiś głęboki żal malował się na jego twarzy.

Po ogłoszeniu wyroku znalazłem się w obszernym gabinecie restauracji Simona i Steckiego na Krak. Przedmieściu w towarzystwie artystów, kompozytorów, profesorów konserwatorium. Przybyła i żona Fitelberga, znana artystka z opery warszawskiej, Halina Szmolcówna. W miłym, kulturalnym towarzystwie spędziłem kilka godzin. Pamiętam, że Umińska odpięła pęk fiołków od bluzki i ofiarowała mi je w dowód uznania.

Dzisiaj, kiedy kreślę te wspomnienia, Fitelberg już nie żyje. W chwili wybuchu wojny zdołał opuścić kraj i podążył do Ameryki, potem wrócił zaraz po wyzwoleniu i przez kilka lat pracował intensywnie. Żona jego zginęła w pierwszym tygodniu wojny na moście Poniatowskiego. I z owej kamienicy na Krakowskim Przedmieściu, w której mieścił się lokal Simona i Steckiego, też śladu nie ma...

*(dokończenie nastąpi)*